

Rozmowa z Jerzym Karnickim oraz Krystyną Karnicką

Prowadzenie: Aleksandra Karnicka

Dzień dobry, to trzecia rozmowa z tytułu Spotkań ze Słupszczanami w ramach realizowanego przez Słupskie Ośrodki Kultury projektu pod nazwą Słupskie Kroniki Dźwiękowe. W ramach programu Patriotyzm Jutra 2025 projekt jest dofinansowany ze środków Muzeum Historii Polski w Warszawie. A dzisiejsi nasi goście, on Jerzy Karnicki, chłopak z ulicy Teatralnej, który zagrał w ponad 100 premierach, ona Krystyna Karnicka skrzypaczka, która w latach osiemdziesiątych przyjechała do Słupska. Ale zacznijmy od tych najwcześniejszych lat, czyli lat pięćdziesiątych. Urodziłeś się na ulicy Teatralnej. Co pamiętasz z tamtego okresu z perspektywy dziecka?

JK:

To ile mamy czasu? Co ja pamiętam? No pamiętam dosyć sporo. Jak człowiek sięga pamięcią, cofnie się, to jednak się coś tam, jakieś cegiełki otwierają i okazuje się, bo mówi się, że do wieku czterech lat to się nic nie pamięta, dopiero później ta pamięć zaistnieje. Ja przedszkole pamiętam. Pamiętam moją pierwszą miłość w przedszkolu, pierwszą bójkę, nawet pamiętam jego nazwisko, mojego rywala Tadeusz M. Rodo? Rodo właśnie, tak, nie mogę wymienić jego nazwiska. Do przedszkola miałem niedaleko, więc chodziłem sam. Od trzeciego roku życia rodzice mnie puszczali, ja chodziłem sam, wracałem sam, bo przez ulicę bliźutko. Samochód tam przyjeżdżał, nie wiem, dwa, trzy razy dziennie, żeby nie mówić tygodniowo.

No pamiętam te gruzy, po tych gruzach się chodziło, bawiło, układało się domy z cegieł, które się na nas zawały, raniły nas co nieco, awantury w domu, że znowu już gdzieś coś budowałeś. Pamiętam, jak wyglądało to całe osiedle, w którym w tej chwili siedzimy, pamiętam, że przy młynie resztki mostu były, a myśmy w gruzach, ja się urodziłem osiem lat po wojnie, ale to w tamtych czasach to ludzie, którzy tutaj się osiedlili, nie myśleli o odbudowie, raczej o tym, że stąd wyjadą niedługo, bo nazwiska Roosevelt, Stalin to były gdzieś daleko, daleko. Pamiętam te gruzy, w tych gruzach znajdowało się różnego rodzaju rzeczy, między innymi granaty, granaty zaczepne, tak zwane tłuczki do ziemniaków i myśmy te granaty zbierali, chodziło się na ten rozwalony mostek przy młynie, wtedy woda była większa, bo w tej chwili do strumyczek z naszej Słupi się robi, ale siadało się na tej belce, odbezpieczało się, wrzucało się pod nogi i ten granat tak spływał trzy metry dalej, cztery, robił duży bum, chlapał wodą, a koledzy dalej stali i ryby zbierali. I tak żeśmy te ryby wyławiali z tej naszej Słupi. W młynie była moja pierwsza praca, ale jesteśmy jeszcze w przedszkolu chyba. A jeszcze wcześniej pamiętam taką zabawę na ulicy, ja miałem ze trzy, cztery lata. Zabawa polegała na tym, że w starych dzielnicach wszystkie piwnice miały okienka, ale takie, żeby można było węgiel wsypywać, więc nie w ścianie, tylko w chodniku były te okienka. I niektóre były zakratowane, żeby tam śmieci nie leciały, inne deską przykryte, różnie to było. I się wybierało taką z przykrytą kratą piwnicę i jak się zobaczyło, że idzie patrol milicji, przeważnie szedł jeden mundurowy i jeden z opaską, ale wybierało się takiego, że musiał mieć koniecznie czapkę.

Stawało się nad tą kratą i się płakało bardzo. No oczywiście milicjant się zainteresował, podchodził, co się stało tam i wpadło, co się wpadło tam, wpadło, ale co, pochyłał się i w tym momencie czapkę mu z głowy i w tył zwrot i w długą. I jeżeli on łapał czapkę, to już mnie nie dogonił, ale jeżeli czapkę zostawiał, no to mnie dogonił, nie było silnych przecieży. A myśmy te zakamarki znali, nawet jak biegł za mną do klatki schodowej, to tam się zbiegało do piwnicy, piwnica miała trzy wejścia, poza tym zakamarki były w piwnicy, więc nie było szans, żeby nas złapał. Ale jeżeli nas złapał, to z bramy wychodzili Maniek, Stasiak, Stefan, Tadek. Chłopcy wtedy mieli po 17-18 lat. „Co, młodego ruszasz? Dziecko zaczepiasz?” No i tak się żyło wtedy, bo byliśmy bardzo zintegrowani. Ci starsi opiekowali się nami, ta nasza ulica teatralna była bardzo zintegrowana. Myśmy się wszyscy znali, żyliśmy jak w wielkiej komunie, jak w wielkiej rodzinie i na podwórko wychodziliśmy od najmłodszych lat, jak już nauczyliśmy się chodzić. Wychodziliśmy bez opieki, sami się bawiliśmy, wymyślaliśmy gry, chodziliśmy na szaber do księdza, bo przed plebanią św. Jacka po drugiej stronie ulicy Kościelnej był stary budynek i tam się mówiło, że zakonnice mieszkały kiedyś. Nie wiem, czy to prawda, ale my się tam chodzili fajerki zbierać, bo albo nas złamał, albo do toczenia po ulicy były dobre. Co jeszcze z tamtych czasów? Szkoła podstawowa. Aha, no i kojarzę, może wy pamiętacie, może komuś coś przyjdzie do głowy. Ja pamiętam, że na ulicy Mikołajskiej było coś zbudowane z czerwonej cegły. To było okrągłe i w środku leżały butelki octu. Taki magazyn octu jakby były. Bo ja pamiętam, że myśmy pętelki robili i te butelki zahaczaliśmy, ten ocet wyciągaliśmy do góry. Takie mam skojarzenie, to pamiętam, chociaż mnie się dziwne wydaje, bo tam żadnej takiej rotundy nie było, ale takie skojarzenie mam z lat dziecińczych. Jak zaczęli budować osiedle dwudziestolecia, tak? Jesteśmy na osiedlu chyba dwudziestolecia, tak to się nazywa. Jak zaczęli budować, no to wtedy był karbid akurat w naszym środowisku bardzo popularny, strzelanie z puszek, strzelanie z butelek, z korków.

I jak postawili płot, ogrodzili ten cały teren, bo zaczęli osiedle budować i oczywiście był strażnik, który chodził z jakąś taką gwintówką niestrzelającą, podejrzewam, a myśmy takiego strażnika... Oczywiście załadowali butelki, z wodą były przygotowane, wrzucało się kawałek karbidu, zatykało się korkiem i wołało się tego strażnika. Jak on się pojawiał, to się jeszcze mocniej wstrząsało i tymi korkami celowaliśmy w tego strażnika. Takie zabawy mieliśmy.

Co jeszcze z tych takich lat? No to osiedle było... Zamek, tylko pamiętam, że cztery ściany w zamku stały. Praktycznie tam to, że odbudowali, to dla mnie cud, bo tam praktycznie nic nie było. I w tym zamku się znajdowały jeszcze jakieś artefakty muzealne, które myśmy wtedy traktowali jako rzecz do zabawy. To nie była rzecz muzealna dla nas. Pamiętam, taki piękny kordzik znalazłem. Dzisiaj nie określe, czy to był powojenny, czy niemiecki, czy polski, czy to muzealny, nie mam pojęcia. Ale ładny, bardzo ładny kordzik znalazłem i Tadek obiecał, Tadek, który miał wtedy 17 lat chyba, obiecał, że mnie weźmie nad rzekę. Chodziliśmy się razem kąpać na piątkę tak zwaną. To wiecie przecieży, gdzie piątka była. Ja wtedy mogłem mieć ze cztery, pięć lat i on mnie wziął nad rzekę. Przyszliśmy nad rzekę. On mówi, to dawaj ten kordzik. Ja mu dałem ten kordzik. To teraz do domu. Ja mówię, no zaraz, no ale kąpiel. Nie, nie, o kąpieli nie było mowa. Jesteśmy nad rzeką, to do domu teraz. No i tak się z nimi pokąpałem.

Co jeszcze? No w tamtym okresie pamiętam takie walki uliczne między Drewnianą, Długą, Teatralną, Podgórną i to były dosyć takie niebezpieczne zabawy, bo te kamienie, którymi

rzucaliśmy naprawdę mogły zrobić krzywdę, bo mało tego, myśmy już technologię jakby ulepszyli. Rozbijaliśmy dachówki, bo były płaskie i dalej leciały. I pamiętam, że to była niebezpieczna zabawa jedna z koleżanek, która nie brała udziału w tej walce.

Grała sanitariuszkę i niestety ona została trafiona gdzieś nad brywią. Uświadomiliśmy sobie wtedy, że te zabawy są bardzo, bardzo jednak niebezpieczne. Osiedle, no chodziło się tutaj po gruzach.

Pamiętam jedno drzewo gdzieś tutaj na Mocnikach gdzieś rośło. Tam czasami łaziliśmy na to drzewo, ale to był jeden wielki gruz tutaj. Od kościoła.

Przepraszam Jureczku, czy ty sprawdziłeś, że to już uległo przedawnieniu, jeśli chodzi o karalność? Chyba tak, nie wiem. Ale jak były młodociany... Jak były młodociany, to mogło mnie najwyżej do poprawczaka dawać. Ale od kościoła Mariackiego do ulicy Zamkowej, oprócz poczty i za pocztą tych budynków, gdzie ja mieszkałem, to tutaj było jedno wielkie gruzowisko.

Odsyłam do książki o słupsku pana Wojciecha Skóry, gdzie on wyjaśnia, dlaczego tutaj były te ruiny. Dosyć interesująca historia, bo to nie zostało zbombardowane przez Rosjan, ale spalono, obawiając się pułapek, które Niemcy zastawiali na nich. I było tak, że Słupsk został zajęty do Wisły, przepraszam, do Słupi.

Po tamtej stronie jeszcze Niemcy uciekali, a tutaj już gospodarowali się Rosjanie. I chyba w tym ciągu, gdzie jesteśmy, była taka jedna z większych pułapek zastawionych, gdzie zginęło trochę żołnierzy. I potem Rosjanie, jak wpadli w tę pułapkę, to zaczęli wypalać budynki, żeby te pułapki poniszczyć.

Szkoła ćwiczeń tutaj stała, do której zacząłem chodzić w latach 60., w 60., aha, jesteśmy w latach 50., tak? No, ale możemy już przejść do kolejnych Twoich wspomnień właśnie. A jeszcze lata 50., między pocztą obecną przy ulicy Mikołajskiej, a stojącym tym starym budynkiem tam w tej chwili jest tylko obrodzenie, kojarzycie? Między pocztą na Mikołajskiej i budynek. Przeciwno Żłobka.

Tak, przeciwno Żłobka. I tam jest tylko teraz w tej chwili ogrodzenie. Ale tam były budynki, niewysokie, takie jednopiętrowe.

Dzisiaj powiedzielibyśmy z zagospodarowanym poddaszem, czy jak to się tak mówi. I tam mieszkali Cyganie. Teraz się mówi Romowie, ale wtedy mówiliśmy Cyganie, oni się nie obrażali, sami siebie nazywali Cyganami.

I razem z nimi mieszkał autochton, pan Klejna, który produkował trumny. Ja to pamiętam, bo on był kulawy i myśmy gówniażerstwo takie, biegało za nim, krzyczało, że kuter noga. To było nieładne, ale pamiętam miał psa Jamnika.

I on dosyć wcześnie się wyprowadził, bo potem już zostali tylko Cyganie. Zresztą z takim jednym się przyjaźniłem, to miał Niuniek. Dla niego mówiliśmy Niuniek i to chyba nawet było jego imię.

On był starszy ode mnie, ale bardzo mnie imponował. Zawsze miał czarne włosy, ulizane, taki bardzo przystojny. Bardzo mi się podobał chłopak.

Organizator też fajny, bo nam zabawy organizował fajnie. A potem zawsze mówił, teraz wybaczczie, idę na dziewczyny. I zniknął nam.

O tę szkołę też chciałam za chwilę zapytać, ale jak już wspomniłeś, tutaj tych budynków nie było, było pusto. Kwartal tam przy ulicy Teatralnej istniał, w sensie stały tam budynki. Natomiast mieszkaliście w mieście, ale mimo wszystko klimat trochę wiejski, ponieważ chyba zwierzęta były hodowane między właściwie tymi kamieniczkami, domami, uliczkami.

Przy ulicy Teatralnej stały te budynki, w których ja mieszkam. A na zapleczu tych budynków, ale w stronę Kościoła Świętego Jacka były komórki wybudowane. Kiedyś to były te, nie wiem, to nazywano, bo piwnice były, ale też były te komórki ogrodzone i każdy z mieszkańców miał swoją komórkę.

No i tam pamiętam takie przedziwne historie, bo na przykład świniobicie było, bo mój wujek z moim ojcem zajmowali się mięsem, tak ogólnie rzecz biorąc. I pamiętam, że świnie uwiązali za tylną nogę i trzeba było ją siekierą ubić. No i świnia się urwała i biegała po tym małym podwóreczku tam, a oni siekierą za nią.

Dla nas, wyrostków, którzy to obserwowali, było to bardzo zabawne, że świnia takim dorosłym chłopom uciekała. Ale też inna przygoda była. Pamiętam, pani Paciorowa, nazwiska mogę powiedzieć, bo osoba dawno nie żyje, ona już wtedy była wiekowa, hodowała kozę i poprosiła nas, żeby w jej składziku na środku wbić kołek, a myśmy wtedy mogli mieć, ja mogłem mieć wtedy ze cztery lata, a koledzy po dziesięć.

I mieliśmy wbić ten jej kołek na środku, żeby tę kozę miała do czego uwiązać. Bo ona jej coś tam obgryzała, nie wiem, chodziło o to, żeby ona była na środku. I myśmy ten kołek bili, wbijali, wbijali, no nie dało się go wbić.

To pamiętam, obłożyliśmy kamieniami, żeby tylko strczał, powiedzieliśmy, że zrobiliśmy. Co się okazało? I to jest ciekawe. Jak zaczęli w 1957 roku budować to osiedle, to przedtem trzeba było ten teren wyrównać.

No i te składziki trzeba było. Zobaczcie, w 1950 roku, czyli ja miałem cztery lata, ja to pamiętam. I przyjechał spychacz i zaczął te składziki rozwalać po prostu.

Spychać, żeby to potem wywieziono wszystko. I w tym miejscu, gdzie myśmy kołek wbili, odkrył wieko skrzyni. I tam były dewocjonalia.

Bardzo, wydaje mi się, że to było wszystko złoto, bo po co zakopywać? Ja nie wiem, ale to wyglądało bardzo efektownie. I ci pracownicy zaczęli nas odganiać, że nie wolno podchodzić, milicję trzeba zawołać. No a zanim milicja przyjechała, to skrzynia już była pusta.

Oczywiście. Przejdźmy może teraz do lat sześćdziesiątych. Chciałam zapytać o Twoją szkołę podstawową, bo ćwiczeniówki już nie ma.

Ale gdzie ona była i jakie masz wspomnienia związane z tą szkołą? Na Francesco 0, do przedłużenia przez ulicę trzeba było przejść. I to była szkoła ćwiczeń. Dlaczego ćwiczeń? Bo było liceum... Czy partyzantów to się nazywa? Nie, tam dalej, ta druga ulica.

Bierut, a partyzantów? Nie, dobrze, na partyzantów. Na partyzantów było liceum pedagogiczne i uczniowie z tego liceum przychodzili do nas na praktyki. Jakby na ćwiczenia.

I stąd taka popularna nazwa się przyjęła, że ćwiczeniówka. A zresztą my się mieli dobrze, bo musimy na zajęcia z chemii, z fizyki, z WF-u czasami. Chodziliśmy do nich, a tam były fajne... Ja miałem potas, prawdziwy potas mogłem dotknąć.

To taki wiecie, metal bardzo niebezpieczny, z wodą w reakcję szybko wchodzi. Mieliśmy mnóstwo możliwości tam zrobienia doświadczeń. A szkoła ćwiczeń była dosyć specyficzna.

Sala gimnastyczna była mniejsza chyba niż to, a na pewno dużo niższa. Taką mieliśmy całą salę gimnastyczną. Przyjaźnie się zawiązywały bardzo szybko, a biblioteka mieściła się na samej górze i z biblioteki można było wyrzeć na ulicę.

Taka dziura była. Zimu też nie było zatkane. Po prostu w bibliotece było zawsze zimno.

Był ten woźny Piechociński, który rano o piątej rozpalał we wszystkich piecach w klasach, a przerwę ogłaszał chodząc, dzwonkiem dzwoniąc. Dzisiaj to jest nie do pomyślenia, ale wtedy tak to wyglądało. Oczywiście ławki, kałamarze.

Ja byłem zafascynowany majem, akcjami takimi charytatywnymi. Niewidzialna ręka to była moja ulubiona akcja. Z kolegami w szkole postanowiliśmy zrobić dobry uczynek.

Ławki były stare, jeszcze takie z kałamarzami i z miejscem na pióro. One były już zniszczone. Postanowiliśmy je odmalować i odmalowaliśmy.

Następnego dnia wszyscy przychodzą, o jakie ładne ławki, jak fajnie. Wszyscy usiedli, ale po chwili, proszę pani, ja mam zielone ręce, proszę pani, ja mam zieloną bluzkę. Co się okazuje, bo myśmy nie mieli innych farb, to plakatówkami to pomalowaliśmy.

Tylko trochę wilgoci to wszystko puściło. No i niestety pani dyrektor Szpilewska myślała, że myśmy to zrobili jako głupi kawał. Zostaliśmy ukarani, a myśmy chcieli naprawdę dobrze.

Oczywiście to się wydało i pamiętam, że była taka sytuacja, że jak coś się złego działo w szkole, to pani dyrektor od razu krzyczała, Karnicki, Kido, Getz, do mnie! No i musieliśmy przyjść i przeważnie miała rację. Chyba ta sama ekipa była również w strukturach ZHP. Bo z tego, co pamiętam, to z Twoich opowieści, to właśnie wy trójkę byliście harcerzami.

Powiedz, jakie działania harcerskie utkwily Ci w pamięci z tamtych lat? Nasza drużyna była prężna, bo drużyną była, znaczy drużynową drużyny była pani Szczepłocka. Bardzo fajnie drużynę prowadziła, z przyjemnością na zbiórki chodziliśmy. Ja byłem chyba zastępowym.

Było przesympatycznie na tych wszystkich zbiórkach organizowaliśmy. Na przykład na jednych zajęciach organizowaliśmy doświadczenia fizyczne. Jakby takie były edukacyjne spotkania.

Jeździliśmy na biwaki. Na tych biwakach też były historie, jak nam prawdopodobnie psy wyniosły całą kiełbasę na te trzy dni przewidzianą. Myśmy szukali, nie znaleźliśmy.

Chociaż Krzysiek miał podejrzenia, że to nie psy jednak. Ale nie udowodnił tego nikomu nic. Natomiast w harcerstwo tak byliśmy zgrani, że kiedy mama zabroniła mi pójść, bo z moją nauką było tak sobie, na zbiórkę, to ja z pierwszego okna zeskoczyłem, żeby pójść na zbiórkę.

Z pierwszego piętra. Z pierwszego piętra, z domu. Wskoczyłem, żeby pójść na tę zbiórkę.

Mama przybiegła za mną, bo wiedziała, gdzie idę. Ale kiedy zobaczyła, jak to wygląda, odpuściła, mogłem zostać. W harcerstwo myśmy tutaj te topole sadzili, których już nie ma przy szkole.

Myśmy wiele dobrych rzeczy robili, a przede wszystkim integrowało to środowisko młodych ludzi i zawiązywało się przyjaźnie. Na przykład ja do dzisiaj z Krzyśkiem Kido mamy kontakt z Krzyśkiem Getsem, mam kontakty z innymi. Ze szkoły podstawowej dużo, dużo się przyjaźni zawiązało i kontakty utrzymujemy w dalszym ciągu.

A jeszcze wracając do szkoły ćwiczeń, mieliśmy, albo nie, o tym nie będę opowiadał, mieliśmy taką małą salkę i chodziliśmy czasami na zajęcia na stadion i byliśmy tak bezczelni w niektórych momentach, że to jest dzisiaj nie do pomyślenia. Wtedy dzięki Bogu nie było możliwości nagrywania tego, bo gdyby ktoś dzisiaj to obejrzał, to by powiedział, wy narzekacie na dzisiejszą młodzież. A wtedy? Właśnie chciałam ci powiedzieć, że to też się teraz nagrywa.

I teraz przeskakujemy o kolejne dziesięć lat. Czy Jerzy Karnicki był hippisem i miał przez to problemy w szkole? Wtedy wszyscy byliśmy hippisami, nie? Wszyscy staraliśmy się nosić długie włosy, być wyzwolonym, słuchać muzyki, która u nas była niedopuszczalna, trudno było płyty zdobyć, ale u nas w szkole pan dyrektor Piwoński dbał o to, żebyśmy wyglądali przyzwoicie. Przychodził na lekcje z nożyczkami i te włosy nam przycinał w jednym miejscu, tak żeby było widać skórę.

Nie wypadało chodzić z taką dziurą we włosach, no to się szło do fryzjera i się skracalo to. Ale byli mistrzowie w kamuflażu. Nie powiem kto, Andrzej był mistrzem w tym, zwłaszcza, że już grał, był muzykiem i te długie włosy by były potrzebne.

Więc tak miał upięte tymi blaszkami, podpinkami, że z przodu wyglądał idealnie. I starał się do pana dyrektora, kiedy przychodził do klasy, być cały czas przodem, żeby tymu nie pokazać, bo te spinki było jednak widać. Ale udawało mu się bardzo często.

Ja miałem o tyle dobrze, że Tosiek Franczak, bo już zacząłem się bawić w teatr, przyszedł do dyrekcji i powiedział, że mi to do roli potrzebne. Mogłem jako jedyny w szkole nosić długie włosy. Jesteśmy w latach 70-tych.

Wiemy tutaj, że Śródmieście jest odbudowywane. Ale powstaje w tym czasie też zatorze. I wspominało iż, że chyba nie za bardzo lubili się tutaj, nie za bardzo lubiła się młodzież ze Śródmieścia.

Jeszcze może w latach 60-tych, raczej niż w 70-tych. Dziewczyny wolno było tylko do wiaduktu odprowadzić. Ale już dziewczyna mogła iść sama, bo tam była bezpieczna, jeśli była z Zatorza oczywiście.

Wtedy miasto się kończyło na ulicy Jagiellońskiej, czy nie? Jak to się nazywa ta ulica? Tam były ogródki działkowe i za tymi ogródkami działkowymi praktycznie już nic nie było. Już było pole. Reja, Ziemowita? O ten rejon się chodzi? Tak, o tych rejonach mówię.

Czyli w Norwida i tam... To tego nie było. Tam już były pola. Tam się psy wyprowadzały.

Sobieskiego nie było przecież. Sobieskiego było, bo tam jeszcze były te ogródki działki. I za Sobieskiego jeszcze były domki stare i kolejarzy tam zaje się mieszkali.

I ktoś jeszcze... Jeszcze tam były te domki, a za tymi domkami już nic nie było. Dopiero w 67 roku zaczęto przenosić tam... Powstała tak jakby strefa ekonomiczna, bo powstał tam Sezamor, Pomorzankę tam przeniesiono. Co tam jeszcze było? Alka.

Fabryka butów. To przechodzimy teraz do lat 70-tych i chciałam... Zostańmy na chwilę przy szkole, bo to są też lata 70-te. Przypomniało mi się, że jak robiliśmy doświadczenia w szkole, mieliśmy zmierzyć grawitacji.

A więc stoper. Pamiętam Leszek, kolega, dostał stoper i kamień, który rzucamy we dwójkę na dole. Trzy stopery, bo trzeba było czas średni wyliczyć, żeby dokładnie te zmierzyć grawitację.

No i nasz profesor geniusz przez nas nazywany. Mówi, no geniuszu, rzucaj. I on rzucił.

Wyłączyliśmy stoper, ale już nie wyłączyliśmy. Poza zdziwieniem zauważyliśmy, że on na górze ścisną kamień, a stoper się rozbił na dole. I takie przygody w szkole, w naszej, myśmy tworzyli dobrą klasę, zresztą humanistyczną bardzo, ale dobrze się uczyliśmy, ale byliśmy takimi zabijakami.

Jeszcze jeden przykład powiem, teraz już mogę powiedzieć, po latach się przyznać. Rozpoczyna się szkoła i wiecie, plany były ołówkiem pisane, bo to jeszcze musiało się wszystko ułożyć. Nie będę pokazywał palcem kto, ale Andrzej wymazał język polski w ostatniej lekcji i cała klasa poszła do domu, no bo planie nie ma.

Awanturę nam zrobili, że no ale jak to, mówimy, bo ktoś wymazał. No przecież nie my, no panie dyrektorze, my byśmy wymazali. Następnego tydzień i znowu czmychnęliśmy.

No ten dyrektor nie odpuścił i zawiesił całą klasę na dwa tygodnie. Wiecie jaka to była dla nas kara? Dla szesnastolatku przez dwa tygodnie do szkoły nie chodzić, mieć wolne. To była straszna kara.

Ale no mieliśmy fajną klasę i bardzo mile wspominam tę szkołę. Chciałabym teraz przejść do tematu budowy Ośrodka Teatralnego Rondo i zapytać się, jak zaczęła swoją przygodę z Antonim Franczakiem i jak to się stało, że Kaplica Ewangelicko-Augsburska stała się teatrem? Ha! Myśmy tworzyli teatr w 72 roku został założony teatr Rondo i z Tośkiem Franczakiem

tworzyliśmy te spektakle, bawiliśmy się w teatr. Trochę tam rozgłosu zdobyliśmy, trochę o nas pisano, trochę nagród zdobyliśmy, ale nie mieliśmy siedziby.

Mieściliśmy się w tej małej salce przy Pawła Findera, bo zburzono nam wspaniałą, stary teatr. W ogóle muszę wrócić do tego, bo zburzono teatr na podstawie badań, których przeprowadzili z Koszalina wielcy uczeni, stwierdziwszy, że jest w tak złym stanie, że ściany nośne zaraz się rozwalą. Myśmy, znaczy dyrekcja ówczesna wtedy tego budynku zdobyła z Gdańska.

Tam jacyś inżynierowie przyjechali, którzy stwierdzili, że nie, że te ściany, że to może być wszystko ok. Ale nie, władze, to chodziło o trasę terasa, więc pewnie wiecie, o co chodzi. I postanowili to zburzyć.

W jaki sposób? Wybuchem. Okleili okna dookoła, podłożyli te ładunki. Było wielkie bum.

Wszystko się zawaliło oprócz ścian nośnych. Te, które miały być najślabsze, zostały. I nie wiem, czy pamiętacie, jak czołgami tam potem rozrywano linami.

To było okropne. Miałem gdzieś cegłę na pamiątkę, ale już nie wiem, bo to było miejsce mojej pracy pierwszej. A i po szkole, zaraz do tego tematu wrócimy, o który pytasz, ale już nie pamiętam, jaki serwis.

Ale też moja pierwsza praca w Słupsku, pamiętam. Rok 1973, zdana matura i do pracy. I pracowałem jako magazynier w gospodarstwie rybackim.

Znałem się na rybach, na sieciach, na włokach. Przez pół roku tylko, bo zastępowałem tego magazyniera właściwego. Ale powiem wam, fajna praca, bardzo fajna praca.

I wracając do budynku Teatru Rondo, Tosiek dogadał się z rodziną, która jako jedyna już praktykowała swoją wiarę w tym budynku, w tym kościele. I ten pastor powiedział, że odda, ale Tosiek był na tyle sprytny, że powiedział, że proszę tam zaznaczyć w umowie, że tylko na cele kulturalne. I tak się stało.

W tej umowie jest, że tylko na cele kulturalne i tam powstał Ośrodek Teatralny Rondo. Tak to się wtedy nazywało. Ale oczywiście trzeba było to adoptować.

No to myśmy wszyscy, sami, zakasali rękawy i tworzyliśmy tam od początku wszystko. I podłogę wymienialiśmy, ściany remontowaliśmy, te antresole zbudowaliśmy. Trzeba było wodę podciągnąć.

No, cuda nie budy. Dużo pracy społecznej, za to ani grosza nie dostaliśmy, ale mieliśmy satysfakcję. Ja mam do dzisiaj, że taki budynek istnieje i że Teatr Rondo na przeciągu istnieje.

A jakie znane dzisiaj postacie, jacy słupszczanie angażowali się w pracę w Rondzie i jakie spektakle graliście? Czy mógłbyś coś opowiedzieć o tamtym okresie? No, tworzyliśmy i monodramy, i spektakle dramatyczne, i widowiska plenerowe. Z najbardziej znanych nazwisk w Teatrze Rondo to oczywiście Ewa Kasprzyk, która u nas zaczynała, bo mało tego, powiem Wam, że Ewa Kasprzyk w ogóle nie myślała o aktorstwie. Nie chciała iść.

Ona skończyła WSP w Słupsku. Nie wiem, jak to się wtedy nazywało. Chyba WSP.

Nie, SP. To już było WSP. To nie było studium nauczycielskie.

Nie, ona kończyła w 70-tych latach. To jeszcze było WSP. To takie najbardziej obok mojego znane nazwisko w Teatrze Rondo.

Przepraszam. Natomiast oczywiście byliśmy znani w całej Polsce z widowisk plenerowych. Zorganizowaliśmy międzynarodowe warsztaty widowisk plenerowych przy współpracy Międzynarodowego Stowarzyszenia Teatrów Narodowych, którzy trochę współfinansowali to.

Mało tego, mam ten dokument. Myśmy się zwrócili do władz partyjnych o możliwość zakupu większej ilości papieru toaletowego, bo będziemy mieli gości z zagranicy. Ja ten dokument mam do tej pory.

Takie to zabawne czasy były. No cóż, no trochę z teatrem zaczęliśmy jeździć po świecie. W tamtych czasach trudno było wyjechać, a myśmy mogli pojechać do Austrii.

Mogliśmy pojechać na Węgry ze spektaklami. No i oczywiście później Portugalia się zaczęła, a właściwie nie później, bo to w latach 80-tych Portugalia się zaczęła, gdzie jeździliśmy regularnie, bo mało tego, z widowiskiem plenerowym pojechaliśmy na cały miesiąc i zagraliśmy tam chyba 30 spektakli. Także było intensywnie, ale wspaniale.

Przyjaźnie zawiązane w rondzie, tak jak i te szkolne do dzisiaj trwają, do dzisiaj się utrzymują. Chwała. Później w Słupsku powstaje Teatr Muzyczny i zostaje przekształcony w Teatr Dramatyczny.

A od kiedy ty jesteś związany zawodowo ze sceną? Czy to już w czasie tego przekształcenia? Teatr administracyjny powstał w 76 roku, a sezon otworzono chyba w 78. Chyba był pierwszy spektakl. To też taka ciekawostka.

Maciek Prus został dyrektorem artystycznym, przyjechał do miasta, teatr muzyczny. Panie dyrektorze, jaki pan spektakl wystawi? Myślałem na premierę, na otwarcie teatru o operetce Gombrowicza. Świetnie, świetnie, a jaki tytuł? Potem jak się wyszło szydło z worka, że to Gombrowicz, że to operetka, a to nie, nie.

To jest niemożliwe, żeby inauguracja Mojnotem. W związku z tym przygotowano szybko dwie jednoaktówki Moliera, bo teatr muzyczny to musi być muzyczny spektakl. No i był muzyczny spektakl i tu też ciekawostki, dwie takie opowiem.

Scenografia była przepiękna. Nie wiem, czy to państwo pamięta, ale scenografia była przepiękna, naprawdę trawa zielona, super to wyglądało. I była żywa owca z tyłu, jako scenografia, a orkiestra grała w kanale, bo to był teatr muzyczny, więc orkiestra była w kanale.

I w pewnym momencie drzwiczki tej owcy się otworzyły. Wszyscy patrząc z zaciekawieniem, co się zdarzy. Aktorów akurat na scenie nie było, bo jakaś uwertura była albo coś w środku grali, już nie pamiętam.

A ta owca podeszła do orkiestronu, spojrzała w dół, tak popatrzyła, rozejrzała się dokładnie, zrobiła i wróciła do siebie. Wszyscy śmialiśmy się, że skomentowała to, jak oni grają. Inna sytuacja na scenie był wielki pień, ważący, nie wiem, 200 kilo chyba.

Taki wielki pień postawiony jako scenografia i był tenor niewielkiej postury. Coś źle przymocowali ten pień, nie wiem, co się stało. On się oparł o ten pień i ten pień się przewrócił.

Ten w swoim strachu, takiej adrenaliny dostał, że nie przerywając śpiewu ten pień postawił sam, gdzie czterech technicznych go wносиło i ledwo go stawiało. No i takie te historie. Potem ja w 1979 dotarłem, dzięki Dorocie Stalińskiej zostałem zaangażowany do teatru i w 1980 roku za dyrekcji Marka Grzechińskiego teatr podzielił się na orkiestrę kameralną i teatr dramatyczny.

I to było chyba w 1980 roku. A jakie znane postacie zaczynały na słupskiej scenie? Kto był członkiem tak zwanej warszawskiej ekipy? To zaangażowali się wtedy Krzysiek Tyniec, Maria Kotuła, Pakulnis i Kotulanka. Agnieszka Kotuła.

Później zmieniła nazwisko na Kotuła, nie Kotulanka. No to takie trzy nazwiska, które no wypłynęły w teatrze i filmie polskim. Agnieszka skończyła jak skończyła, niestety.

A Majka dobrze sobie radzi do tej pory. Pewnie już jest na emeryturze, ale pogrywa. A Krzysiu Tyniec do tej pory gra jeszcze.

Interesuje mnie jeszcze jedna kwestia, bo przecież 13 grudnia 1981 wprowadzono stan wojenny. Natomiast Wy mieliście próby, spektakle, próby generalne. Jak Ty omijałeś cały ten system, by móc wrócić po pracy do domu? Stan wojenny nas wszystkich zaskoczył.

Godzina policyjna. Wprowadzono godzinę policyjną i pierwszym, który pokazał nam jak unikać to był Sławek Sosowski śp. On pierwszy mykał od bramy do bramy, gdzieś tam przechodził.

Jak Ty się tu znalazłeś? A przemknąłem. Też opowiada nam taką sytuację, że go jednak złapali, zawieźli na Reymonta. Tylko Reymonta było zamknięte w nocy i musieli go puścić, bo nie mieli gdzie go zostawić.

A myśmy w teatrze dostali przepustki, że było zaświadczenie, że kończymy pracę o 22, czyli po 22 możemy się poruszać. Nie pamiętam, czy była wyznaczona godzina. Nie, chyba nie.

Chyba całodobowo się mogli poruszać. Nie pamiętam taką historię. Już opowiadałem przy okazji Woźniaka, ale to właśnie z nim związana.

Po próbie wracaliśmy na Gierymskich, to kawał drogi, pieszo, bo taksówki już nie jeździły. Patrzymy, idzie dwóch wojskowych naprzeciwko, a Tadek nagle ciągnie mnie za rękaw i buk na drugą stronę ulicy. Ja mówię, no dobra, idziemy.

Oni przeszli, no więc Tadek znowuż na drugą stronę ulicy. Ja mówię, o matko boska. A to było tuż za wiatuktem chyba.

Ja mówię, no to mamy przerąbane przecież. A oni znowuż przeszli na tę ulicę. Ja mówię, no i podchodzą do nas.

No ja mówię, no ja już taki jestem. Oni długą broń mają. Ja mówię, Boże, będą strzelać.

A oni się do nas odzywają. Panowie, nie idźcie Szczecińską, tylko tam z boku, bo tam stoją i pilnują. To wojskowi.

Porządni ludzie się okazuje byli. I myśmy mogli się poruszać, bo mieliśmy te przepustki, ale też pamiętam taką sytuację, że zastrajkowaliśmy. Nie wiem, czy pamiętacie, wtedy z opatem były takie problemy, że do lasu zakłady pracy jeździły po drewno.

Cuda niebity. I myśmy zastrajkowali. I przywieźli nam węgiel.

A stojący na bramce wie się, jak mówi, nie wpuszczamy, bo strajkujemy. Panie, ale myśmy węgiel przywieźli. A co mnie to obchodzi? Mamy strajk.

I potem mieliśmy zimno przez cały sezon. Już nie chcieli drugi raz nam przywieźć tego. Ale pamiętam też, to był dziwny strajk, bo myśmy się zamknęli w tym budynku i co robiliśmy? Pracowaliśmy ciężko.

Była okazja, żeby popracować, żeby nam nikt z zewnątrz nie przeszkadzał. I myśmy mieli normalne próby i pracowaliśmy. Orkiestra tylko nie ćwiczyła, leniuchy.

Przechodząc właśnie do tematu orkiestry i naszej gościni. Pojawiasz się w... Nie. Pojawiasz się na ziemi słupeckiej w symbolicznym momencie, bo w sierpniu 1980, kiedy to kraj stoi u progu historycznych wydarzeń, a ty postanawiasz przeprowadzić się z południa Polski i powiedz, co ciebie skrzypaczkę skierowało w tę stronę.

Chciałam powiedzieć, że czuję się zaszczycona na zaproszenie takiego spotkania, bo ja opolanka z krwi i kości, dopiero 45 lat mieszkam tutaj w Słupsku. Dopiero. Ale co mnie skłoniło? Byłam na obozie muzycznym z Rzemesu w Siedlcach pod Warszawą.

Było tam 120 osób, młodych ludzi, którzy wybierali drogę, co chcą zrobić. Przeważnie większość była to absolwenci po szkole średniej i starsi też. No i boh Dany Jarmołowicz zaproponował nam na obozie muzycznym, pod koniec obozu odbył się przepiękny koncert, ale potem powiedział, kto jest zainteresowany pracą, proszę zostać na takim małym, krótkim spotkaniu.

Poszliśmy na to spotkanie i powiedział, że zakłada orkiestrę. Teatr muzyczny rozpada się na teatr dramatyczny i Państwową Orkiestrę Kameralną w Słupsku. Nie ma jeszcze pełnego składu, szuka ludzi.

Kto by był zainteresowany, bardzo proszę przyjechać do Słupska. Byłam na tym zebraniu, też zostałam zaproszona, więc mówię, spróbuję. Co to znaczy proszę przyjechać i spróbować do Słupska? Dwa tygodnie dostaliśmy czasu, żeby grać w tej orkiestrze, żeby poczuć tę atmosferę, zobaczyć na czym praca polega i przygotować się do egzaminu.

Jeśli zdacie Państwo egzamin przed komisją orkiestry, to zostaniecie przyjęci za dwa tygodnie. I myśmy tak zrobili z dwoma jeszcze innymi muzykami. Zostałam przyjęta do tej orkiestry i powiem Wam, że byłam niezwykle przejęta.

Praca była bardzo ciężka, bardzo intensywna. Ćwiczyliśmy dużo na próbach, ale mieliśmy obowiązek zabierać nuty do domu i ćwiczyć drugie tyle jeszcze w domu. Przygotowywaliśmy się niesamowicie intensywnie.

Powtarzaliśmy wiele razy, kilkadziesiąt. Wiecie, w tygodnie potem to się liczy i w 40 lat, które przeżyłam, spędziłam czas w tej orkiestrze, to się na setki, tysiące godzin ciężkiej pracy to się przekłada. Ale dlaczego o tym mówię? O tej ciężkiej, takiej bardzo solidnej, uczciwej pracy.

Wyobraźcie sobie Państwo Festiwal Pianistyki Polskiej, który się odbywa co roku w Słupsku, cyklicznie. I tam zjeżdżają się najlepsi pianiści, którzy tam występują. Młodzi i starsi, ale również na widowni podczas koncertu siedzi cały jury tego Festiwalu Pianistyki Polskiej i siedzi zacy Jerzy Waldorf, który był uznawany wtedy za jedną z najważniejszych postaci krytycznych świata muzycznego.

I wyobraźcie sobie, że podczas tego koncertu, zaczynamy koncert uwerturą, gramy, przejęci, bo przecież wszyscy się dowiedzieli, że Jerzy Waldorf na widowni siedzi, wszyscy zdenerwowani, podekscytowani. Zaczyna się koncert, zaczyna się uwertura, gramy, gramy, gramy i w pewnym momencie zgasło światło. Ale nie tylko na widowni, zgasło w całym pomieszczeniu, czyli na scenie również.

I jak orkiestra zareagowała? Graliśmy dalej i graliśmy dalej i graliśmy dalej i wydawało nam się, że to wieczność, niech to światło się w końcu zapali, bo nam się wyczerpie już, wiecie, pomysł, co tam dalej było. My nie mamy obowiązku uczenia się na pamięć partii, którą mamy na pulpicie w nutach zapisane. Ale zobaczcie, ile razy myśmy musieli przećwiczyć te takty, te fragmenty, większe i mniejsze.

Ile razy myśmy powtarzali, skoro orkiestra przy zgaszonym świetle grała nadal i wydawało nam się oczywiście, że to jest nie wiadomo ile to trwa, dziś do minuty to światło się włączyło, nastąpiła światłość i orkiestra nadal grała. I co się okazało? Dostaliśmy tak niesamowite oklaski po koncercie, a ten najsłynniejszy krytyk muzyczny Jerzy Waldow napisał świetna orkiestra, znakomite koncerty. Im w ogóle jest światło niepotrzebne, oni wszystko na pamięć grają.

Oprócz tego, że dostałaś pracę w orkiestrze, to też dostałaś ofertę mieszkania. I czy mogłabyś opowiedzieć o tym bloku przy ulicy Braci Gieryńskich 6? Tylko nie wszystko była nam. Tak.

To był blok. To była rzecz niesamowita. Młoda dziewczyna, która dostaje pensję i propozycję, że do pracy może przybyć tutaj i dostanie mieszkanie służbowe.

Na tamte czasy to chyba było marzenie, słuchajcie. Chociaż teraz już to jest niemożliwe, ale na tamte czasy też to było marzenie. Bo to nie była zwykła taka propozycja, że każda firma, która przyjmowała młodych ludzi, dawała od razu mieszkanie.

Dostałam mieszkanie. Trzypokojowe. I słuchajcie, zmartwiłam się tym.

Bo co ja będę robiła w mieszkaniu trzyosobowym? Przecież ja jestem trzypokojowym, przepraszam. Co ja będę robiła? Jestem samusienka na parterze, ciemno, z trzech stron mieszkanie szczytowe. O matko, co to będzie? Co to będzie? I przyjechała koleżanka, przyjeżdżała koleżanka do orkiestry.

Raz na jakiś czas na tydzień. Na tak zwane wypomóżki. Co to są wypomóżki? Przyjeżdżasz na tydzień, grasz przez tydzień, a potem wyjeżdżasz, bo to nie jesteś na stałe na etacie, tylko raz na jakiś czas.

I mojej koleżance, Marzenie flecistce, zaproponowałam, żeby zamieszkała u mnie, bo ja jestem taka samotna i smutna. I zamiast się cieszyć i zagospodarować trzy pokoje dla siebie, to ja mówię, ależ przyjeżdżaj. Jak tylko będziesz w Słupsku, to nie idź do hotelu, tylko będziesz u mnie mieszkała.

I ona sobie tak pomału, wiecie, zwoziła te rzeczy i na stałe miała pokój u mnie. Taki był początek mojego trzypokojowego mieszkania. Oczywiście, że byłam bardzo szczęśliwa, że mam to mieszkanie, ale było to dla mnie za duże i za wielkie.

Ja czułam, że jest mi to absolutnie niepotrzebne w takim wymiarze. Co to było za mieszkanie? Blok, słuchajcie, na Braci Gierymskich. Cztery klatki schodowe i cztery piętra.

Pięćdziesiąt mieszkań i wszyscy się znamy. A w tym mieszkaniach tylko rodziny bądź samodzielne osoby. Tylko aktorzy, muzycy i może tam były ze trzy rodziny z obsługi i technicznych.

Także i tak i tak, to byli tylko absolutnie pracownicy filharmonii, wtedy jeszcze nie było filharmonii, nazwę filharmonii. Pracownicy orkiestry i teatru i techniczni. Wszyscy z jednej firmy i wszyscy w jednym bloku.

To było też niesamowite. Można by było napisać książkę o tym, co się tam działo. Wsiadało się do taksówki i się mówiło? Proszę.

Wsiadało się do taksówki, jak przyjeżdżało się do Słupska i mówiło się poproszę na wariatkowo i oni wiedzieli gdzie jechać. Albo mówiło się na przykład ojej poproszę do domu muzyka. A tak oczywiście.

Nigdy nie musieliśmy podawać ulicy. Nigdy. Bo to wszyscy taksówkarze wiedzieli, że dom muzyka jest na Gierymskich i że to jest normalne wariatkowo.

Dom aktora powiedział. Dom aktora też. Mówiliśmy poproszę też na dom aktora, dom muzyka i tak dalej.

Wszyscy wiedzieli, gdzie było to wariatkowo. A dlaczego to wariatkowo? Ale dlaczego to wariatkowo? Słuchajcie, bo żyliśmy w jednej wielkiej wspólnocie i czuliśmy się jak jedna wielka rodzina i wszyscy się znaliśmy. Absolutnie mogliśmy na sobie polegać, bo jak coś się potrzebowało, to można do pierwszego mieszkania było zapukać, do drugiego, piątego, szóstego.

Tam wszyscy się znaliśmy jak jedna wielka rodzina. Przepraszam, dygresyjkę mogę? Proszę bardzo. Znaliśmy się do tego stopnia, że raz koleżanka przysłała i powiedziała Jurek, ty umiesz majonez robić.

I potem po całym bloku chodziłem, majonez wszystkim robiłem. Słuchajcie, było oczywiście bardzo śmiesznie, bardzo sympatycznie i czas nam strasznie szybko upływał. Dlatego ja mogę dzisiaj z perspektywy, już ukończyłam 40 lat pracy w tej orkiestrze.

Potem nazwa Filharmonia przysłała. Mogę powiedzieć, że upłynęło mi to jak 10-15 lat. Ale na pewno nie jak 40.

Dużo żeśmy czasu spędzali poza pracą razem i na przykład z dziećmi chodziliśmy. Była niewielka górka za blokiem na Braci Gierymskich, więc chodziliśmy na sanki z dziećmi. Ale jak wieczorem położyliśmy dzieci i dzieci na pewno zasnęły, ale to na pewno zasnęły, to myśmy na 20-25 minut wyskakiwali wszyscy dorośli.

I zjeżdżaliśmy na tej samej górce, na tych samych sankach i bawiliśmy się tak jak małe dzieciaki. Takie były przygody, słuchajcie. I było naprawdę miło i wesoło.

I była jedna wielka wspólnota, ale nie było zazdrości ani zawiści. Nie było tego u nas w naszym społeczeństwie małym. Także robiliśmy też sobie niespodzianki, słuchajcie.

Jednym z najgłośniejszych wydarzeń, które do dzisiejszego dnia ludzie wspominają, było to, że my jako muzycy chcieliśmy zrobić aktorom bardzo, chcieliśmy zrobić jakąś miłą niespodziankę. I Piotr Lewtak, świętej pamięci, znakomity skrzypek i koncertnicz wymyślił, że gramy my dla aktorów w bloku Nagiryskich robimy im koncert prywatny. I Piotruś z nami ćwiczył cztery pory roku.

Kwartet plus solista. Piotr solistą był. Gramy cztery pory roku dla aktorów.

No i pytamy się chłopaków, gdzie to można by było zorganizować. I taki Cezary Nowak, tak? Czarek Nowak mówi, to w moim mieszkaniu, bo ja jestem kawalery, ja mam mało mebli, to ja to, co mam, to wyniosę i zrobię piękną przestrzeń. Słuchajcie, dekoracje wypożyczyliśmy, jakieś kandelabry, jakieś tam kotary grube, pięknie.

Czarek autentycznie wszystko wyniósł z tego pokoju. Zrobiliśmy te dekoracje i graliśmy kwartet plus solista Piotr Lewtak. I widownia zaczynała się od tego, że ludzie siedzieli od połowy pokoju na siedząco, potem były krzesła, za krzesłami było na stojąco, potem był przedpokój pełny ludzi i mówili nam, że w czasie koncertu ludzie jeszcze otworzyli drzwi i na klatce schodowej, no bo to były małe mieszkanka, i na klatce schodowej jeszcze ludzie stali i słuchali koncertu cztery pory roku.

Dla kogo? Specjalnie dla aktorów. Takie były historie. Dziękuję bardzo.

Byłem na tym koncercie. Wejdźmy teraz do końca lat osiemdziesiątych. Wtedy właśnie narodził się Kabaret Dekade, w którym występowałeś.

Czy odczułeś wtedy, że Dekade zyskuje wyjątkową popularność i czy miał jakiś wpływ Twoim zdaniem na życie kulturalne Słupska? Myślę, że tak, bo ten Kabaret Dekade tak rozbłysł

nagle, pojawił się jak gwiazda z nieba, pobył trochę parę lat, no i potem jak gwiazda gdzieś zniknął na tym firmanencie kulturowym. Ale to był wspaniały czas, to był październik osiemdziesiąt dziewięć, jak jeszcze na Pawła Findera zagraliśmy pierwsze spektakle. I potem Romek Kordziński mówił, ja widzę Was w teatrze, przeszliśmy do teatru.

No i zaczęły się trochę niesnaski w teatrze, przyznam, bo myśmy zaczęli zarabiać, bo graliśmy co tydzień Kabaret i mieliśmy za to płacone. Ja jako reprezentant podpisałem umowę z dyrektorem, bo jeszcze byli muzycy przecież, zespół muzyczny, a to byli ludzie z zewnątrz i oni też musieli mieć za to płacone. Ale nikt, zespół trochę tak się, znaczy może nie wszyscy, ale była taka pani, która zaczęła mieć pretensje do dyrektora, dlaczego ci to gówniarstwo zarabia więcej od niej.

Ale pani grała tylko w tych sztukach, w których myśmy też grali, a poza tym dostawaliśmy pieniądze za granie w Kabarecie. A praca do Kabaretu była ciężka, bo próbę kończyliśmy o dwudziestej drugiej i zaczynaliśmy próbę Kabaretu do drugiej, trzeciej w nocy. Potem trzeba było rano oczywiście przejść na próbę i stąd w ogóle nazwa powstała, bo któregoś razu siedzimy, a Radek Ciecholecki mówił, byle doczekać końca dnia.

No i tak powstał ten dekadent, doczekać końca dnia. Kabaret, no myślę, że jakoś odcisnął się wtedy w mieście, że ludzie wiedzieli, co to jest, słyszeli przynajmniej o tym, a bardzo dużo osób przychodziło, myśmy grali co środę w środku tygodnia. Koncerty się, Kabarety się zaczynały, z tego co pamiętam, o dwudziestej pierwszej zdaje się.

I zawsze przy pełnej sali, pełnej widowni, zresztą uczestnicy siedzą na przyjęciu. Także wspaniały okres. Potem oczywiście jakieś tam nagrody zaczęliśmy ogólnopolskie zdobywać.

Potem drogi na szczęście trochę rozjechały i Kabaret przestał. Właściwie nie wiem, chyba już nie istnieje. Dziękuję bardzo za dzisiejszą rozmowę.

Myślę, że przeszliśmy na piechotę. Nie, nie, ja jeszcze pytanie od publiczności. Tak licznie zjeżdżamy.

Jeszcze najważniejszej nagrodzie orkiestry. Chciałam powiedzieć jeszcze o bardzo istotnej rzeczy. Bohdan Jarmołowicz bardzo dużo pracy włożył w tą naszą orkiestrę.

Kilka dekad żeśmy razem spędzili, razem współpracowaliśmy. Powiem wam, że myślę, że władze i publiczność nie doceniała, jaki skarb miała przez tyle lat w swoim mieście. Choć przez lata cały czas melomani dochodzili, przybywali.

I był taki piękny okres, nastał wreszcie taki okres, że bilety były przed koncertem wysprzedane i nie można było już dokupić biletu. A nam chodziło o to, żeby właśnie trzymać najwyższy poziom. Dzięki Bohdanowi Jarmołowiczowi nagraliśmy trzydzieści płyt, a między innymi płyt, wspaniałych płyt z różnymi zespołami, naprawdę, z różnymi też dyrygentami.

I powiem wam, że najważniejsza, najwyższa nagroda, jaką orkiestra otrzymała, to była nominacja do Grami w Stanach Zjednoczonych w 1998 roku. Co to za nagroda? To jest równowartość Oscara dla filmu, a dla muzyki jest po prostu Grami. To jest najwyższa nagroda na świecie, na świecie dla muzyków.

I otrzymaliśmy nominację do tej nagrody za płytę z Gregiem Banaszakiem, saksofonista polskiego, polsko-amerykańskiego pochodzenia, który przyjechał tutaj na normalne Grami, na normalny, zwykły koncert, ale powiedział, mi się tutaj tak wspaniale gra z tą orkiestrą, czy moglibyśmy w przyszłym roku nagrać materiał na płytę. Dyrektor mówi tak, o tak, oczywiście, możemy nagrać materiał na płytę. Więc ja w przyszłym roku przyjadę tutaj do państwa.

No ale wiecie, to takie obietnice, takie rozmowy, nie sądziliśmy, że to wszystko się ziści. Przyjechał za rok i mówi, mam utwory, nagrywamy. Saksofon, stary, sam w sobie instrument, bardzo stary, o dźwiękach takich, słuchajcie, jak 30-40 lata filmy Al Capone.

Piękny tenorowy dźwięk. Nagraliśmy z nim płytę. Tutaj była zebrane całe nagranie.

Całe opracowanie tego materiału nastąpiło w Poznaniu, po czym on gotowy materiał wziął do Stanów Zjednoczonych i oddał to firmie Centaur, która to finansowała. Wyobraźcie sobie, że wytłoczona została płyta i była tak piękna i tak wspaniała, że została nominowana do najwyższej nagrody na świecie. Już były, już się zastanawialiśmy, no ale kto pojedzie do tej Ameryki, jak wygramy, nie? Już były takie przekąski.

A może dyrektor i może Rada Artystyczna? A dlaczego ta Rada Artystyczna zawsze do Rada? A może zwykły szaraczek taki pojedzie z orkiestry? Wszyscy żeśmy brali w tym udział, ale przegraliśmy. Nie dostaliśmy tej nagrody, ale sama nominacja była tak nobilitująca, że to jest tak, jakbyśmy dostali tę nagrodę. A przegraliśmy z kim? Z maestro Pendereckim.

To też jest ogromne wyróżnienie dla orkiestry i moim zdaniem, takim prywatnym zdaniem, uważałam, że władze i publiczność nawet nie zdawała sobie z tego sprawy, jaką ma perełkę w Słupsku. Słuchajcie, naprawdę, żeśmy występowali z Andrzejem Kulką, z Palecznym, z Kają Danczowską, z Michałem Urbaniakiem, z Leszkiem Kłakowskim. Wiele płyt zostało nagranych z... Olejniczakiem.

Oczywiście, z Olejniczakiem. Pograłem go w karty. Z Richardem Galliano, słuchajcie, to jest mistrz akordeonu w Francji.

Paryż się szczyli, że ma Galliano. I myśmy z tym Galliano tutaj koncert zagrali w Gdańsku, ale on mówi, że to jest znakomita orkiestra i on chce z nami nagrać płytę. I co zrobiliśmy? Nagraliśmy.

I jest na to dokument. Wiele było nagród, ale powiem wam, że zawsze, zawsze uważam, że poziom, żeśmy trzymali, bardzo wysoki. Najwyższy, jaki mogliśmy my sami wszyscy muzycy osiągnąć.

Dzięki Jarmołowiczowi. I że to była znakomita wizytówka dla Słupska. I na koniec powiem tylko jedno.

Ostatnie zdanie. Jeśli by miała się wrócić wstecz do 40 lat wstecz nic bym nie zmieniła. Mam nadzieję, że Jerzy Karnicki wszystkie te płyty przesłuchał, szanowni państwo.

O tak, tak. Faktem jest, że ta płyta z Banaszakiem polecam. Jest super.

Naprawdę jest super.

AK:

Mieliśmy dzisiaj przyjemność porozmawiać o powojennym Słupsku, o życiu kulturalnym Słupska, o nagrodach. Dziękuję państwu bardzo za rozmowę. Ja nazywam się Aleksandra Karnicka i zapraszam państwa na kolejne rozmowy z cyklu Słupskich Kronik Dźwiękowych, bo tych rozmów jeszcze kilka przed nami. Dziękuję, życzę miłego wieczoru.